

WIKTOR RAPACKI



Wiktor Rapacki, urodzony + marca 1920 roku w Krzczonowie, koło Bychwy, woj. lubelskie. Ojciec Stanisław, matka Józefa z domu Krawec.

Rodzice moi są lwowiakami. Ojciec z wykształcenia inżynier mechanik był też kompozytorem. Matka była nauczycielką i śpiewaczką operową. Ojciec w młodości dawał koncerty, jeździł na tournée artystyczne do Włoch, Austrii, koncertował w Neapolu i Wiedniu. Gdy założyli rodzinę, przyszły na świat dzieci, rodzice koncertowali już tylko w domu, dla rodziny i znajomych.

W czasie wojny polsko-bolszewickiej ojciec ~~by~~ walczył z armią Budionnego. Kiedy front zbliżał się odwiózł mamę i moje strasze rodzeństwo pod Lublin. Tam , w Krzczanowie urodziłem się.

Jeden z moich przodków wywodzi się spod Mławy, gdzie mieli majątki ziemskie. Posiadali herb szlachecki Ślepowron.

Dziadek Antoni Rapacki, uczestnik Powstania Styczniowego, po upadku Powstania został zesłany na Syberię. Po kilku latach udało mu się uciec stamtąd. Więcej szczegółów nie znam. Oczywiście nie wrócił do Kongresówki, bo się bał. Osiedlił się w Wiedniu, przekwalifikował na kolejarza. Był kierownikiem międzynarodowego ekspresu Wiedeń-Lwów-Wiedeń. W Wiedniu poznał emigrantkę polską Rozalię Rutkowską, z którą ożenił się. Z tego małżeństwa było bardzo liczne potomstwo. Miał dwie córki i ośmiu synów, przedostatnim był mój ojciec. Ostatnim był stryj Alfred, ten z I Brygady.

W wojsku było pięciu zuchów Rapackich. Ojciec wstąpił do kawalerii, bo miłował konie. W młodości lubił jazdę motocyklową, był członkiem Klubu Czarnych we Lwowie. Przeszedł całą

kampanię, wziął udział w wyprawie na Kijów, był w odwrocie. Dowódcą jego był major Jaworski, ~~brat~~ brygady generał Różycki. Po zakończeniu działań wojenny mój stryj Alfred Rapaczi jako oficer zawodowy z ramienia Ministerstwa Spraw Wojskowych został oddelegowany razem z kpt. Grodzickim do spraw przydziału działek wojskowych na Kresach jako komisarz. Zakotwiczyli się w dworku szlacheckim Tadeusza Kościuszki na Mereczowszczyźnie, na ziemi Nowogródzkiej. Upatrzył sobie opuszczony majątek potomków Zawiszów, nazywał się Połońsk koło Różany Grodzieńskiej. Przed I wojną światową weemigrował z rodzinnego dworu ostatni spadkobierca Zawiszów. Ślad po nich zaginął. Majątek przejęty został na skarb państwa, okoliczne tereny rozparcelowano chłopci rozkupili ziemię, część ~~poszła~~ jako serwituty poszła na darowizny dla chłopów. A samo centrum Połońska z pięknym parkiem i pałacem przeznaczono na osadnictwo wojskowe. Stryj zarezerwował je dla siebie i dla brata, czyli mojego ojca. A ponieważ Stryjek był oficerem zawodowym powiedział ojcu tak: "Stach, ja i tak będę w wojsku, bądź tu gościem, zajmij obydwie działki, będziesz miał duże gospodarstwo." Tak też się stało. Ojciec oczywiście musiał przekwalifikować się na agronoma. Kupił sobie wiele książek na temat ziemiopłodów, hodowli, przede wszystkim hodowli koni. Przywiózł z frontu swojego konia wojskowego over Ordynarsze Leone Tokarskiego, mieliśmy piękne konie wyjazdowe, były dwa ogiery. Prowadził jeszcze hodowlę bydła zarodowego i chlewnię.

Matka moja była początkowo nauczycielką w wiejskiej szkole, dopóki było nas mało, ale jak już miała piatkę pociech mama zrezygnowała z pracy, bo nie dawała rady.

Majątek liczył 56 ha ziemi, piękne łąki, kawałek lasu, park ze starodrzewem - graby, topole, wiązy, modrzewie.

Dość duży pałac murowany z 20 pokojami, dwie sale balowe. Były też oczywiście zabudowania gospodarcze, stodoły, wozownie.

Dzieci było nas pięcioro: najstarsza Zosia, nie żyje, Tadeusz, nie żyje, ja - Wiktor, siostra Janka mieszka w Warszawie oraz Andrzej, nie żyje.

W dzieciństwie pobieraliśmy nauki przygotowawcze w domu. Uczył nas korepetytor, pan Górski, mieszkał w naszym domu. Jak podrośliśmy wyprawiono nas do miasta, do szkół. A najbliższe miasto to była Różana Grodzińska, miasteczko nieduże, może 5 tysięcy mieszkańców, ale historyczne, bo znajdował się tam sławny pałac Sapiehów. W moich czasach był on już zniszczony, został tylko fragment jednego skrzydła, mieścił się tam młyn motorowy dzierżawiony przez żyda, niejakiego Pinera.

W Różanej była siedmioklasowa szkoła, chodziliśmy do niej. Kiedy nadszedł czas szkoły średniej rozproszyliśmy się. Ja i najstarsza siostra Zosia chodziliśmy do szkoły w Skonimie, brat Tadeusz był z Alfredem w Baranowiczach. Stryj Alfred służył tam w garnizonie 78 pułku piechoty. Najmłodszy był przy mamie.

W późniejszych latach uczęszczałem do gimnazjum im. Traugutta w Brześciu nad Bugiem. Mieszkałem początkowo w bursie dla dzieci osadników wojskowych. Zbieranina z całej Polski, ciekawy i zróżnicowany element, z Pomorza, ze Śląska, z Wołynia, z Wileńszczyzny, z centralnej Polski. W różnym wieku z różnych szkół. W Brześciu znajdowało się gimnazjum im. Traugutta, prywatne gimnazjum Masłowskiego, gimnazjum Macierzy-żeńskie, gimnazjum rosyjskie, średnia szkoła handlowa, techniczna, kolejowa, były szkoły rzemieślnicze. Twierdza Brześć z 82 pułkiem strzelców syberyjskich, 32 pułkiem piechoty, 6 batalionem saperów, VIII Dywizją Pancerną, Artylerią przeciwlotniczą stacjonowała w Trauguttowie, blisko Brześcia.

W przededniu wojny, byłem ~~we~~ uczniem III klasy liceum.



W czasie wakacji byłem na kursie szkoleniowym lotniczym, w ramach przysposobienia wojskowego. Przeszkolenie mieliśmy na terenie słynnego szybowiska w Ustinowej, na rzeszowszczyźnie, koło Ustrzyk Dolnych. Liczyliśmy, że zaraz po maturze pójdziemy na lotnicze przeszkolenie wojskowe w Brześciu. Była tam duża baza lotnicza.

Gdy wybuchła wojna młodzież szkolna zgłosiła się na ochotnika do obrony cywilnej miasta, która opiekowała się ludnością cywilną, gasiła pożary. Brześć był bardzo bombardowany. Ojciec wywiózł nas furgonem poza miasto. Po zakończeniu kampanii wrześniowej, kiedy Niemcy już na dobre zadomowili się, jakiś czas byliśmy znowu w Brześciu. Wszyscy byli ogłupiali, nikt nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. Jak Niemcy cofali się Sowieci w Brześciu zamknęli wszystkie szkoły. Ja byłem trzykrotnie aresztowany przez NKWD. Chcieli coś ze mnie wyciągnąć, a mnie udało się przetrzymać. Bicia nie było, ale metody psychologiczne były perfidne. Przychodzili cichutko do domu, bez szmeru żeby sąsiedzi nie słyszeli: "Niczewo nie gawarisz, pójdziesz z nami" Zaskakujące było dla mnie, że znali mnóstwo szczegółów. Nie wiem czy dopali tajne dokumenty czy mieli swoich szpiegów. Wiedzieli, jaki kto ma światopogląd, zainteresowanie partią, Zrazu mówiłem tylko, że jestem uczniem i harcerzem, a polityką się nie zajmuję.

A ja rzeczywiście interesowałem się historią i tym, co się w Polsce dzieje i dlaczego. Nigdy nie byłem aktywnym politykiem jak mój ojciec. On zresztą do żadnej partii nie należał ale miał tęgi łeb do polityki i umiał wiele trafnie przewidywać.

Kiedy ojciec był burmistrzem w Wysokich Litewskich, wojewodą poleskim był Kostek-Biernacki. W trybie administracyjnym ojciec bezpośrednio mu podlegał. Kiedy były wybory do OZON-u,

ojciec zakwestionował wyniki w jakiejś komisji wyborczej. Uważał, że dokonano manipulacji. Ojciec zgłosił to raz, drugi. Nikt nie zareagował, wreszcie ojciec napisał list otwarty do wojewody, że stwierdza w komisji wyborczej manipulacje głosami i nieuczciwość. No i skończyło się tym, że wojewoda zaproponował ojcu, aby złożył rezygnację ze stanowiska burmistrza, co też ojciec zrobił. Jako burmistrz miał zaufanie wojewody, bo był dobrym administratorem, ale ten "wybryk" polityczny stał się krechą, musiał ustąpić.

W Brześciu zacząłem uczyć się w 1936 roku w koedukacyjnym gimnazjum humanistycznym, potem byłem w liceum budowlanym. Dyrektorem liceum budowlanego był kolega ojca z którym znali się jeszcze z Politechniki Lwowskiej - Józef Barański. Namówił nas do przeniesienia, a ponieważ mnie intersowała budowlanka chętnie uczyłem się. Myślałem o tym, żeby w przyszłości odrestaurować cały majątek nasz w Płońsku. Wymagał on kapitalnego remontu. Myślałem, że zrobię to i jeszcze coś nowego zbuduję.

W 1939 roku po kampanii wrześniowej zaczął się rok szkolny pod administracją sowiecką. Zaczęło się wykłapywanie wszystkich "niebłaganadiożnych", ludzi o podejrzanych poglądach. Myśmy jako osadnicy wojskowi od razu byli na indeksie.

10 lutego 1940 roku przyszło do naszego mieszkania pięciu mołojców z NKWD, uzbrojeni byli po zęby no i wygarnęli nas. Podjechała ciężarówka ZIS na podwórze, kazali szybko zbierać rzeczy. Szukali w mieszkaniu broni, oczywiście nic nie znaleźli, bo w mieszkaniu nic nie trzymaliśmy. Straciliśmy głowę. Wygarnęli mnie matkę, młodszą siostrę, młodszego brata. Starszy brat był w majątku, ojciec w Wysokim Litewkim.

Ale na dworcu w Brześciu odnaleźliśmy się i weszliśmy razem do tego samego wagonu. Było tak: najpierw brat pojechał do ojca, bo wykurzyli go z majątku.

Puścili jednak wolno, bo go ludność chłopska pozytywnie zaopiniowała. Wziął rower i przyjechał do Brześcia.

Dogadaliśmy się ze strażnikiem przy wagonie. Jechało nas w jednym wagonie, bydlęcym kilka dziesiąt osób. Znaleźliśmy się razem ~~x~~ cała moja rodzina; była rodzina Daniszewskich, kapitan Daniszewski z żoną i synem, przedwojenny oficer zawodowy i historyk, byli Nadońscy, były ~~legionista~~ legionista z żoną, z synkiem i córeczką. Mieliliśmy swoje tobołki. Jak wypędzali nas z domu lojalnie uprzedzili: "Bierzcie ciepłe rzeczy!" Wiedzieliśmy, że wiozą nas na Sybir. Wlekliśmy się pociągiem przez: Stołbce, Mińsk Litewski, Orszę, Wołogdę do Archangielska. Podróż trwała prawie miesiąc. Co parę dni były długie postoje, robili czystkę. Oczyszczali wagon z trupów, wyrzucali na peron, jak kłody. Pozwalali wyjść, załatwić swoje potrzeby. Jechał z nami generał w stanie spoczynku Sawicki, potężne chłopisko, tęgi. Aresztowali go w mundurze i w mundurze generalskim jechał. Pamiętam pod Mińskiem wyciągnęli go sztywnego za nogi z wagonu i rzucili na peron. W czasie transportu bardzo dużo osób umarło.

Przyjechaliśmy do Archangielska na stację. Wyładowali nas na peron. Część rzeczy starców, małe dzieci, kaleki załadowali na samochody. Z Archangielska podrzucili nas kawałek samochodami, potem znów starców i dzieci załadowali na sanki, a reszta piechotą. Szliśmy około 300km. Początkowo były przetarte szlaki, potem zupełne bezdroża. Szliśmy tylko rzekami po lodzie. Po bokach gęste lasy. Tak dobrnęliśmy do pierwszego posiołku, stał się on naszą przystanią. Po drodze mijaliśmy wioseczki małe, rzadko rozrzucone, mijaliśmy obozy pracy. Był to teren ogromne ~~z~~<sup>z</sup> zagęszczenia łagrów. Prowadzili nas uzbrojeni strażnicy. Byli oni w pewnym sensie naszymi "opiekunami", bo nie znęcali się nad nami w czasie transportu i o ile ci w pociągu mogli nawet ~~z~~<sup>z</sup> strzelić, o tyle jak jechaliśmy tymi



sankami, to już nie. Wiedzieli, że nie uciekniemy. Pójdzie taki uciekinier pół kilometra w głąb tajgi i koniec. Byli więc tolerancyjni. Postoje były przeważnie w cerkwiach. Były one nieczynne, zamienione w magazyna i składy. Obwieszone plakata-  
mi antyreligijnymi, pamiętam taki plakat: " od cerkiewnego  
progu pop żdiot na pros , bez ikony i bez Boga my  
żyjom prekresno". Kładliśmy się na cerkiewnych, kamiennych  
posadzkach. Mieliśmy polskie ubranka, wszystko poprzemarzyło  
na wylot. Miejscowi chodzili w walonkach, czapkach uszatkach,  
mieli ocieplane fufajki, rękawice z jednym palcem. A my  
butki skórzane, czapki bez nauszników, rękawiczki z pięcioma  
palcami. Ludzie od razu <sup>dy</sup> porazali sobie uszy i nosy.

Przyjechaliśmy wreszcie na miejsce. Było tam trochę go-  
towych baraków i trochę miejscowych skazańców - Rosjan. Byli  
to specprzesiedleńcy, tak samo jak my skazani za jakąś nie-  
lojalność wobec władzy sowieckiej. Najwięcej skazanych było  
z okresu kolektywizacji, byli to przeważnie potomkowie tamtych  
skazanych. Rodzice ich nie wytrzymali, pomarli, a młode poko-  
lenie podrosło. Bardzo prędko zżyli się z nami, byliśmy tak  
samo pokrzywdzeni. Nawet nas nie separowano od tych Rosjan.

Na czele obozu stał komendant. Był to stary lejtnant Moło-  
kow, uczestnik wyprawy na Warszawę, Cud nad Wisłą pamiętał.  
Miał kilku żandarmów, służbę wartowniczą. W obozie był sklep,  
gdzie pobierało się prowiant. Obóz pracy przymusowej wypłacał  
oczywiście groszowe zarobki, dość precyzyjnie wyliczone. Kupo-  
waliśmy w tym sklepie żywność na kartki, można było kupić  
ciepłą watówkę, walonki, rękawice, ale na to trzeba było spec-  
jalnie zapracować. Ci, którzy się lepiej sprawowali dostawali  
specjalne premie, <sup>czyli</sup> więcej chleba, trochę oleju, cukru. Bardzo  
prymitywne to były przywileje, ale jednak były dla tych, co ~~by~~  
bardzo intensywnie pracowali.

Znajdował się tam prymitywny punkt sanitarny, ze wspianym sanitariuszem. Uratował mi on życie, bo dawał witaminy, gdy chorowałem na szkorbut. Ciało na mnie gniło, pełno czerwonych <sup>1 siwy</sup> plam, zupełnie byłem bez sił. Pomagał mi, Miał brata myśliwego kasjera, który polował w tajdze na wiewiórki i zające. Przynosił mi zając, czą wątróbkę jako odżywkę. Miałem już kurzą ślepotę. Ten myśliwy to był miejscowy Rosjanin, a felczer pochodził z Ukrainy czy z Powołża i był to też zesłaniec. To byli po prostu przyzwodci ludzie i potraktowali mnie jako towarzysza tej samej niedoli. Felczer nazywał się Zazajew, imienia nie pamiętam, myśliwy miał na imię Osip, nazwiska nie pamiętam. Wśród tych skazanych Rosjan było dużo nazwisk polskich. W rozmowach okazywało się, że jak nie dziadek to babcia ~~by~~ pochodziła z Polski. Jasiński, Tchórzewski.

Moja mama już przed wojną była na emeryturze inwalidzkiej, chorowała na serce. Ojciec też inwalida, miał przestrzeloną nogę w kostce, utykał i nie mógł fizycznie pracować. Rosjanie zaakceptowali to i jako "inżestwieje" czyli niezdolny do pracy dostawał mniejszą porcję. Nie zmuszali go do pracy. Komendant <sup>u</sup>zainteresował się ojcem, bo mój ojciec był jakby duchowym ojcem dla całego obozu, <sup>o</sup>wkół niego koncentrowało się życie poza godzinami pracy. Przychodzono do naszego baraku. Komendant powiedział do ojca: "ty nie możesz rabotat ale możesz popisać, pomożesz mi w kancelarii". I ojciec zaczął pracować w kancelarii. I wtedy komendant zaczął z nim rozmawiać: jak to było w Polsce. W cztery oczy rozmawiali, wypytywał ~~o~~ o Polskę. Jeden z żandarmów też był nad Wisłą w 1920 roku. Ojciec nie krył się, że walczył wtedy z bolszewikami. "Co ty, komendant, możesz mi zrobić, możesz mnie rozwalić, i co ci z tego przyjdzie?" Opowiadał mu o wydarzeniach 1920 roku, że wleźli do nas jak diabły, żołnierze z karabinami na postronkach, na pół boso, źle zorganizowani.



Ojciec przeszedł całą wyprawę na Ukrainę w latach 1918 - 1920, w 19 pułku ułanów, całą kompanię w jednostce majora Jaworskiego.

Wstawaliśmy w obozie bardzo wcześnie. Był gong, taka szyna, w którą walono młotkiem na pobudkę. Wszyscy musieli się zrywać, chociaż była ciemna noc. O drugiej - trzeciej robiło się widno. W czerwcu mieliśmy białe noce. Ale w zimie cały czas mieliśmy ciemno, paliliśmy w lesie ogniska, żeby oświetlić.

Naszą pracą było rąbanie drzew. <sup>były</sup> Funkcje pomocnicze w eksploatacji lasów. Rygada składała się z brygadzysty, zwalzczilka, dwóch sukobojów, rezkreżowszczyka, który rząnął długie kłocce na krótsze i wyznaczał asortyment: to na deski, to na podkłady, to na maszty. Rozwalacz to taki, który odciągał te kłody na prawo i lewo, żeby można było wjechać sankami i zwieźć nad rzekę na <sup>sztable</sup> "stoble" jak oni to nazywają. Na wiosnę szły do spływu. Zwoszczyki, furmani przygotowywali kłocce do jazdy i wieźli nad rzekę. Jak rzeka wiosną ruszyła wiązano je w trawty i spławiano wzdłuż rzeki do tartaków.

Rano dawano nam kipiatak lub imitację herbaty, razowiec, rzadką zupę, po prostu klajster z mąki i wody trochę posolony. To było śniadanie. Obiad przywozili do lasu; zupa i porcję chleba w kieszeń. Zupa ze smierdzących wygotowanych krupek kaszy. Z czasem ci, co mieli wyrobione normy zaczęli dostawać specjalne talony na obiady, zupy gęściejsze i czasem drugie danie, kasza i jak któryś z <sup>zakończony przez wozaków</sup> koni padł to i mięsa kawałeczek. Kolacja - rzadka zupa i pajka chleba. W czasie odwilży wszystko było przemoczzone, onuce, rękawice. Wykręcaliśmy je i kładliśmy na piecu. Te szmaty suszyły się i smierdziały strasznie. Nas to nie raziło, bo to były nasze wspólne smrody.

Sala sypialna była duża, w połowie jej stały piecyki. Spaliśmy wszyscy pokotem. Były zawierane "związki małżeńskie". Bez żadnego ślubu. Mieszkali w jednym baraku, spali po sąsiedzku, jakos dogadali się, szli do komendanta powiedzieć, że są małżeństwem. Komendant to zapisywał. Dostawali więc wspólnie chleb na dwoje, mogła już jedna osoba go kupować, nie stali obydwój w kolejce. A jak się pokłócili komendant wykreslał ich z rejestru. I po małżeństwie.

Moi rodzice pielęnowali święta chrześcijańskie, tradycje religijne i narodowe. Rodzice byli gorącymi patriotami. Mama jako nauczycielka miała szczególną wrażliwość. Pamiętam, jak jechaliśmy saniami przez tajgę na miejsce naszego zesłania mama śpiewała pieśni o złańcach syberyjskich, znała piosenki z XIX wieku. W obozie mama opiekowała się małymi dziećmi, świetnie sobie z nimi radziła. Znała się na medycynie, była wspaniałym pedagogiem, psychologiem i lekarzem. Miała książki medyczne z których bardzo wiele się nauczyła i pomagała w dobrym wynikiem. Z dzieciństwa pamiętam, że myśmy prawie nie znali lekarzy, bo mama leczyła nas sama domowymi środkami. Miała żyłkę społecznikowską. W naszym majątku, przed wojną, oprócz nas miała zawsze koło siebie gromadkę dzieci ze wsi. Uczyła je, dawała jedzenie. "Dobrze mi pani doradziła, dziecko wyzdrowiało" i zносиły kobiety drobne dary - serek, kurczaczka. Mieliśmy jedzenia w bród, ale nie wypadało odmówić jak kobiecina z całego serca dawała, to matka przyjmowała.

Ojciec był duchowym opiekunem obozu. Ludzie załamywali się. Codziennie nam powtarzano, że nie wyjdziemy stąd: "padychacie jak sobaki. Pod sosnami was zakopiemy." Komendant zawsze mówił: "Wy nie zobaczycie Polski, tak jak nie można czubków swoich uszu zobaczyć bez lusterka". Ludzie byli załamani. Przychodzili do ojca: "Panie Rapacki, co będzie?"

Ojciec mówił: "Nie martwcie się, będziemy twardzi, nieustępliwi. To się musi zmienić." Ojciec przepowiedział wybuch wojny niemiecko-sowieckiej. Jak się zaczęło, wziął ojca komendant do kancelarii i zaczął dyskutować o wojnie. A ojciec powiedział: "Zobaczcie, jeszcze będziecie podawać rękę Anglikom, chociaż to kapitałisci." Przewidział sojusz radziecko-brytyjski. Za kilka miesięcy tak się stało.

Nasze Święta to: "wedle stawu grobla". Mama improvizowała. Pamiętam na Wielkanoc mieliśmy jajka wybrane z gniazd ptaków ~~leśnych~~ leśnych. Z chleba wygnieliśmy baranka, a dzikie jagody zastąpiły barwinek.

Naszym jedynym, niezastąpionym lekarstwem przeciw szkorbutowi były żurawiny; kopaliśmy śnieg, żeby je dostać.

To była ~~kwa~~ina reniferów. Tam, gdzie byliśmy nie było stałych osad Eskimosów. Żyli tam samojedzi, przejeżdżały koło nas karawany reniferów, sznur reniferów zaprzężone do saneczek. Jak zatrzymywali się na postój, robili koło na nartach i reniferi skupiały się, nie wychodziły poza okrag. W karnych obozach nie mieliśmy z nikim z zewnątrz kontaktu. Obserwowaliśmy ich z daleka.

Do baraku wchodziło się wejściem centralnym. Sienń duża, na prawo i na lewo olbrzymie sale, piece ~~na~~końcu.

Był barak kuchenny, chodziło się tam ze swoim kociołkiem, oddawało talon i kelnerka nalewała porcję. Naczynia tylko własne.

Każdemu brygadziście <sup>zostate</sup> ~~była~~ przydzielona działka w lesie z drzewami do wycięcia. ~~My~~ Polacy nie potrafiliśmy wyrobić normę. Ci, co byli dłużej i zdobyli swoją technikę wyrąbywania i sposoby oszukiwania. My mieliśmy ogromne trudności. Zarobki bardzo skromne. Natomiast ci, Rosjanie, którzy byli dawno osadzeni mieli po parę rubli i kupowali od Polaków zegarki, spodnie, buty od Święta, koszule.



Zabraliśmy trochę książek, ale niewiele, bo braliśmy przede wszystkim żywność. "Pana Tadeusza", "Quo vadis", "Trylogię". ~~nie~~ Spotkaliśmy w obozie Rosjan inteligentów. Był m.in. śpiewak operowy Gutkow. Był prawnik, nauczyciel. Zachwycali się oni poezją Mickiewicza i powieściami Sienkiewicza. Rozmawialiśmy ze sobą szczerze.

Wspólnych modlitw nie było. Każdy w kącie, po cichu modlił się, żeby nie drażnić komendanta. Był on względnie tolerancyjny. Nie bił. Za przewinienia skazywał na tzw. banie, czyli areszt w łaźnicy a to była "chołodka" 20° - 25° mrozu, bez ogrzewania, ciasno, nie można było się poruszać.

Sauna była. W baraku mieliśmy miski. Robactwa bardzo dużo, pluskwy i wszy. Wieczorem rozkładaliśmy koszule i tłucliśmy je młotkiem.

O wojnie sowiecko - niemieckiej dowiedzieliśmy się z prasy. Docierała tam "Siewiernaja Prawda" gazeta dla obywateli radzieckich, ale nam nie broniono jej czytać. Wszyscy bardzo się ucieszyli. Wojna to znaczy, że coś się dzieje, że ktoś temu kacapowi kręgosłup złamie. Zwłaszcza ci obozowi Rosjanie liczyli, że Niemcy może wyzwolą. Hierownictwo robiło dobrą minę: "Wszystko będzie w porządku. My zwyciężymy." " Nasze dzieło prawiemo, wrag budiet rozbit, pobieda za nami."

Były mitingi, odczyty, hasła propagandowe, wyliczanie sukcesów: "Armia Czerwona niezwyciężona" Armia Czerwona ma rację, jedyna uczciwość i sprawiedliwość. Niemcy to są bandyci, napadli na grzeczny kraj radziecki. W bałdycki sposób napadli na tak szlachetny kraj jak Związek Radziecki.

Po pewnym czasie dotarły do nas wiadomości, że pojawił się na arenie międzynarodowej generał Sikorski, który nawiązuje kontakt ze Związkiem Radzieckim, aby wyciągnąć Polaków, stworzyć wspólny front i walczyć razem z udziałem polskich oficerów i żołnierzy przebywających na terenie Związku Radzieckiego.

Zaczęły powstawać pierwsze delegatury m.in. w Archangielsku. Dotarły te wieści i do nas. Ojciec skrzyknął ludzi, żeby stworzyć grupę i wyjechać na front. Poszedł do komendanta, a komendant na to: "Co wy macie do gadania! Wtedy pojedziecie na front, jak my wam ~~każemy~~ <sup>powiemy</sup>. Nie będzie tu nic inicjować!" Ojciec odpowiedział, że Sikorski, że Polacy mają prawo ~~wrócić~~ <sup>wrócić</sup>." "Prawo to mają, ale niekoniecznie wrócą" - powiedział komendant. Niektórym dali jakby przyzwolenie wstępne, że będą mogli wracać. Ale ojciec zwrócił uwagę, że te przyzwolenia dostają ludzie - jak się to mówi - bez kręgosłupa. Tacy, którzy dla nich nie mają żadnego znaczenia.

Ludzie rzucili się do wyjazdu, żeby jak najdalej od tej nędzy i poniewierki. Miała być żywność, nieprawda, żywności nie dali. Sami ludzie zaczęli zbijać tratwy, tobołki na plecy i płynęli. Sądzi~~li~~ <sup>li</sup>, że dostaną się ~~kończą~~ <sup>do</sup> linii kolejowej i pojedą dalej. Wielu potonęło, tratwy rozpadały się na dużych wirach. Dzieci i starcy tonęli. Niektórzy umarli z głodu. Zabrali kawałek chleba i wybierali się w wielotygodniową podróż. Komendant ~~łmiał~~ <sup>łmiał</sup> się: "nie czekali na zorganizowanie, pojechali i podychnęli czort z nimi. Jak wy popłyniecie, to samo was czeka."

Ojciec wpadł na szalony pomysł, aby jako delegat tej społeczności pojechać do polskiej delegatury i tam zorganizować ewakuację dla ludności z tego posiołku. Komendant nie chciał się zgodzić. Ale ojciec powiedział, że pojedzie pobrać odzież i żywność (paczki UNRRA). Komendant czuł, że ojciec chce uciec. Ojciec więc powiedział, że pojedzie z najmłodszym synem i to będzie rękojmią, bo przecież samego syna nie zostawi. Komendant w końcu zgodził się. Ojciec pojechał z Andrzejem i dał dyla. Brat wrócił sam z ciuchami, komendant zapytał go: "Gdzie ojciec?" "Nie wiem. Zostawił mnie i zniknął."

"My jego znajdziemy" - odpowiedział komendant.

I zanleśli.

Brak końca! Na koncie jest jeszcze ok 30!